

Jacek Grzybała

Moja ulica - Chęcińska

Studia Muzealno-Historyczne 6, 209-215

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jacek Grzybała (Kielce)

Moja ulica - Chęcińska

Miejsce mego urodzenia, a potem zamieszkania przez długie lata, jak również jeszcze po ukończeniu studiów na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie w 1970 r. to Kielce, ulica Chęcińska 11a¹. Pod tym adresem na dużej, liczącej około 50 arów, działce i szerokim froncie od ulicy Chęcińskiej, liczącym około 45 metrów, stały dwa budynki.

Starszy, drewniany bardzo solidny (dziś już nieistniejący) o numerze porządkowym ul. Chęcińska 11 i obok kamienica murowana o numerze porządkowym Chęcińska 11a (do dzisiaj istniejąca).

Budynek drewniany został wybudowany na początku XX wieku, ale obecnie trudno ustalić datę jego powstania, nawet żyjący syn jego właścicieli pan Bogdan Eubich nie pamięta nic z historii jego budowy, chociaż jest już w sędziwym wieku. Do sieni wchodziło się po drewnianych schodach. Wewnątrz mieściły się cztery mieszkania – dwa na parterze i dwa na poddaszu. Mieszkanie nr 1 na parterze było zamieszkałe przez rodzinę Państwa Eubichów. Pani Leokadia Eubich była emerytowaną nauczycielką kieleckich szkół powszechnych, znała świetnie język rosyjski, jako że do szkoły chodziła jeszcze za cara Mikołaja II. Ja będąc uczniem klas 8–10 chodziłem do niej na prywatne korepetycje tegoż języka, było to w latach 1962–1965. Państwo Eubichowie mieli troje dzieci, syna Andrzeja, córkę Zofię i najmłodszego Bogdana, który gdy piszę te słowa mieszka w Kielcach i mimo swego wieku 88 lat udzielił mi wielu cennych informacji, które ja znałem od dziadków w stanie szczątkowym. Za wszystkie te informacje i wspomnienia jestem Mu bardzo wdzięczny. Andrzej Eubich w 1943 r. w czasie okupacji niemieckiej został aresztowany i zginął dn. 3 lutego 1944 r. w Gross Rosen na terenie ówczesnej III Rzeszy. Dzisiaj ta miejscowość nazywa się Rogoźnica i jest położona na terenie województwa dolnośląskiego. W Gross-Rozen znajdował się obóz koncentracyjny i wielkie kamieniołomy, gdzie w strasznych warunkach pracowali polscy więźniowie. Aresztowanie Andrzeja Eubicha było związane z odkryciem przez okupanta powielacza, na którym drukowano ulotki i gazetkę konspiracyjną w kamienicy na strychu. Kto wydał, dziś trudno powiedzieć, ale w kamienicy na pierwszym piętrze mieszkała rodzina volksdeutschów – być może, że to oni.

W mieszkaniu po drugiej stronie sieni mieszkali państwo Małysowie z córką Lalą i synem Andrzejem. Andrzej był starszy ode mnie jakieś 4–5 lat, z wykształcenia był technikiem, ukończył Technikum Chemiczne w Kielcach.

Pierwsze piętro w drewnianym domu, lokal nr 3, zamieszkiwała Pani Joanna Neyman z synem Stefanem. Syn ukończył Akademię Medyczną w Warszawie na początku lat pięćdziesiątych i pamiętam, gdy już pracował jako lekarz stomatolog, pewnego dnia z żoną przyjechał na podwórko swoim pierwszym autem. Był to przedwojenny Fiat Simca, cały w kolorze czerwonym przeznaczony dla dwóch osób. Siedzenie z tyłu to taka małeńka

1 Przedstawiony tutaj tekst powstał na prośbę redakcji „Studiów Muzealno-Historycznych”. Nie są to „typowe” wspomnienia z dzieciństwa, a próba zapisania własnego miejsca w wymiarze mikro: mikrospołecznym i mikrotopograficznym. Arbitralnie użyte tu określenie „mikro” oznacza zapamiętaną przez autora społeczność mieszkańców i trójwymiarową zabudowaną przestrzeń ulicy Chęcińskiej w latach dzieciństwa i młodość, czyli w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX w. (red.).

ławeczka, praktycznie można tam było włożyć dwie nieduże walizki. Koło zapasowe oczywiście na zewnątrz samochodu, przykręcane do jego tylnej części karoserii.

Był to rok 1955, ja miałem wtedy 8 lat, jako że byłem dzieckiem, miałem po raz pierwszy kontakt z prywatnym samochodem, nawet siedziałem za kierownicą i włączałem kierunkowskazy, a były to strzałki podnoszone do pozycji poziomej w środku, w których zapalało się światelko, czyli żarówka. Dr Stefan Neyman był znanym kieleckim stomatologiem, cenionym specjalistą, pełnił obowiązki kierownika przychodni zdrowia w Kielcach, następnie wyjechał do Piwnicznej-Zdroju. Tam zmarł kilka lat temu, został pochowany w grobie rodzinnym w Kielcach na nowym cmentarzu. Mama dra Stefana Neymana, Anfisa Neyman, była rodowitą Rosjanką, po polsku mówiła bardzo dobrze, ale z akcentem śpiewnym zaciągającym każde słowo. Jak niosła wieść podwórkowa, pani Neyman udało się cało i zdrowo przybyć do Polski w trakcie Rewolucji Październikowej lub zaraz po jej zakończeniu. Podobno była córką rosyjskich ziemian arystokratów, którzy mieli majątek ziemski przed rewolucją blisko Petersburga, a produkty rolne z tego majątku zaopatrywały stół carski.

Mieszkanie nr 4 *vis-à-vis* pani Neyman zamieszkiwali państwo Mieszczankowscy Jadwiga i Władysław. Ich dwaj synowie to moi koledzy Leszek i młodszy Bogdan. Bogdan całą szkołę podstawową chodził z moim bratem Janem „Aśkiem” do jednej klasy, obaj byli z 1950 r. Pan Władysław Mieszczankowski opowiadał mi takie zdarzenie z czasów II wojny, a dokładnie ze stycznia 1945 r., gdy Rosjanie wkroczyli do Kielc, a ich pojazdy i cała kolumna samochodów stała na ulicy Chęcińskiej. Na jednym z nich był napis USA, pan Władysław zapytał: „A szto eto takoje?” (A co to jest takiego?). Rosyjski żołnierz odpowiedział od razu: „Ubijom sukinsyna Adolfa”. Rozumie się, że były to samochody dostarczone do Armii Radzieckiej w ramach konwojów, które szły do Murmańska przez Atlantyk ze Stanów Zjednoczonych. Żołnierz, co wiedział, to powiedział, tak go uczono, tak mu kazano mówić. Przy okazji, w styczniu 1945 r. znajomość rosyjskiego Pani Anfisy Neyman i to, że była Rosjanką bardzo się przydała. Pan Józef Eubich wraz z nią poszedł do ogrodu, gdzie Rosjanie wyrąbывali drzewa owocowe, aby rozpalic nimi ogniska; była sroga zima. Na prośbę pani Anfisy część drzew uratowała się, pomógł piękny język rosyjski, no i to, że była Rosjanką. Pani Jadwiga Mieszczankowska z domu Softan, to nazwisko jest nam znane z *Pana Tadeusza*, pochodziła ze znanego rodu, ale nic więcej na ten temat nie mogę powiedzieć. O tym nazwisku rodzonym swej mamy powiedział mi jej syn Bogdan. W Kielcach miała ona brata inżyniera gazownika, był on wujkiem Bogdana. Pani Jadwiga – bardzo ładna kobieta, widać też, że nazwisko jej przekładało się na jej zachowanie i sposób bycia – zmarła bardzo młodo. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Była wieczorna pora, na podwórko przez drewnianą bramę wjechał karawan zaprzężony w dwa czarne konie, cały oszklony. Szyby z trzech stron, z otwieranymi z tyłu drzwiami, też przeszklonymi. Nie byłem świadkiem dalszych czynności pogrzebowych, które były związane z przejazdem do kościoła. O ile dobrze pamiętam, był rok 1956, miałem wtedy 9 lat. Po chwili poszedłem do domu, zdawałem sobie sprawę jako dziecko, że mama Leszka i Bogdana nie żyje i moi koledzy nie będą mieli już swojej mamy.

Ciekawa historia!

W tym drewnianym domu w mieszkaniu Państwa Eubich we wrześniu 1939 r. ukrywał się pułkownik Wacław Wilniewicz, dowódca obrony Kielc, który największe boje toczył na wzgórzu Kadzielnia, odległym o około 300 m od ulicy Chęcińskiej. Całą tę historię, którą opisuję opowiedział mi przez telefon Pan Bogdan Eubich, syn Józefa, obecnie mieszkaniec Kielc, mający 88 lat. Rozmowa miała miejsce 11 marca 2014 r. o godzinie 20. Po zakończeniu walk na Kadzielni, które miały miejsce w rejonie

dawnego kina Skałka, i gdy zginęło około 40 żołnierzy, a 60 zostało rannych, Niemcy wkroczyli do Kielc i zajęli całe miasto. To wszystko zdarzyło się w ciągu jednego dnia 5 września – pod wieczór było już po bitwie.

Rano o godzinie 6 ze swojego domu położonego przy ul. Chęcińskiej 11 (budynek drewniany dzisiaj już nieistniejący) wyszedł do ogrodu pan Bogdan Eubich, syn Józefa Eubicha, właściciela posesji oraz domu drewnianego i kamienicy murowanej stojącej obok, dotykającej szczytem do drewniaka (było jeszcze szaro, dzień dopiero wschodził). Zobaczył wychodzących z ogrodu na podwórko trzech żołnierzy w mundurach. Jak się później okazało, byli to obrońcy Kielc, a więc pułkownik Waław Wilniewicz, dr Żiwot i żołnierz szeregowiec. Zaprosił ich do domu do rodziców, gdzie wszyscy otrzymali ubrania cywilne oraz zwykłe buty. Żołnierz i dr Żiwot oddalili się potem w nieznanym kierunku, natomiast pułkownik Waław Wilniewicz pozostawał w mieszkaniu Państwa Eubichów ponad 10 dni. Był ubrany w ubranie cywilne i zwykłe buty; mundur, buty wojskowe i wszystkie dokumenty zostały ukryte. Przez pierwszy tydzień był w szoku, zupełnie załamany, bardzo małowówny i skryty. Pan Józef Eubich dzięki swoim znajomościom w magistracie kieleckim załatwił mu lewe papiery i tak pułkownik został nauczycielem o nazwisku Krawczyk. Trwała ta „załatwiaczka” około tygodnia. Mieszkał w jednym z pokoi razem z rodziną Eubichów, a zdjęcie tego domu wykonałem, gdy byłem uczniem szkoły średniej. Kryjówka pułkownika była w piwnicy, do której tajnym wchodziło się wejściem koło pieca. Nagle okazało się, że mieszkająca w sąsiedniej kamienicy nr 11 a niejaka Dominikowa, rodowita wiedeńska zamężna za górala z Nowego Sącza i mieszkająca nad moimi dziadkami w mieszkaniu nr 4, wie, że pułkownik – choć cywil – ukrywa się i mieszka u Państwa Eubichów. Dominikowie podpisali volkslistę, sytuacja stała się bardzo groźna. Pan Józef Eubich, widząc co się dzieje, poszedł do nich i błagał, żeby o tym fakcie nie doniosła na gestapo. Ciężko mu było, gdy klęczał przed tą volksdeutschką i całował ją po rękach, błagając ją o litość i dyskrecję. Danego słowa dotrzymała, nie doniosła, ale pobyt pułkownika był dalej niemożliwy.

Po załatwieniu biletu kolejowego wyjechał do Warszawy. Jeszcze w grudniu 1939 r. przybył kurierem od pułkownika, który zabrał do Warszawy wszystkie dokumenty i papiery oraz odznaczenia, a także buty wojskowe. Co się tyczy munduru i spodni, nic nie wiem. Pułkownik rano, gdy przyszedł na Chęcińską, był bez płaszcza wojskowego. Wszystkie te dokumenty szczęśliwie dojechały do Warszawy. Na opisanie tej sytuacji otrzymałem osobistą zgodę od Pana Bogdana

Kamienica o adresie ulica Chęcińska 11a to budynek dwupiętrowy z piwnicą i pralnią, a na poddaszu strych, który spełniał bardzo ważną rolę po każdym praniu. Służył on za suszarnię bielizny pościelowej oraz wszelkiej innej maści ręczników kąpielowych, serwet i obrusów stołowych. Budowę kamienicy rozpoczęto na początku lat trzydziestych XX w. Projektantem kamienicy był znany przedwojenny budowniczy Edward Pińczewski, zamieszkały w Kielcach na ul. Karczówkowskiej nr 1. On też był wtedy właścicielem największej w tej części miasta kamienicy, usytuowanej na rogu ulic Karczówkowskiej i Chęcińskiej. Prowadzenie budowy, jak i nadzór budowlany powierzył inwestor, czyli pan Józef Eubich, również projektantowi. Inwestor budowanej kamienicy posiadał firmę budowlaną o nazwie „Józef Eubich – malarstwo pokojowe”.

W firmie pracowało około 10 pracowników, wykonywała ona wszelkie prace malarzkie i wykończeniowe na budowanym w tym czasie gmachu Przystosowania Wojskowego i Wychowania Fizycznego w Kielcach (gmach ten po wojnie to Wojewódzki Dom Kultury, a od niedawna dodano im. Józefa Piłsudskiego). Za zarobione na tej budowie pieniądze i mając własną ekipę budowlaną Pan Eubich przystąpił do budowy kamienicy. Budynek murowany z cegły, stropy miał drewniane, jak zwykle w tych latach budowano, tj. przed II wojną światową. Drewno użyte na stropy to belki dębowe, natomiast

strop nad piwnicą był betonowy, tzw. strop Kleina. Na tych belkach dźwigarach ułożona była ślepa sosnowa podłoga, a dopiero na niej parkiet dębowy, który był we wszystkich sześciu mieszkaniach w całej kamienicy. Budowę ukończono w 1936 lub 1937 r., a że kamienica była budowana z przeznaczeniem na czynszową, czyli wszystkie mieszkania do wynajęcia, więc już w 1937 r. sprowadzili się pierwsi lokatorzy.

Mieszkanie nr 1 na parterze po lewej stronie klatki schodowej wynajęli państwo Kowalewscy. To tu w 1944 r. Niemcy urządzili tzw. kocioł. Polegało to na tym, że przez kilka kolejnych dni każdy mógł wejść do mieszkania, a drogi odwrotu nie było. W ten oto sposób okupant wyłapał wszystkie kontakty i powiązania. W tym kotle został zatrzymany Bogdan Eubich, syn właścicieli kamienicy. Nagle wywiązała się strzelanina, wrzucono na klatkę granaty, i w jej wyniku dwa pociski utkwily w futrynie mieszkania po przeciwległej stronie klatki. W mieszkaniu tym mieszkali moi dziadkowie z moją mamą. Dokładnie nie znamy przyczyny tej strzelaniny i całego zdarzenia, domniema się, że całą awanturę spowodowali sami Niemcy biorący udział w kotle i w obstawie tego kotła. Ta strzelanina miała być reakcją na rzekomy atak partyzantów. Finał sprawy był taki, że cała klatka była sprana pociskami, które odbijały się od ceglanych ścian, a okrągłych otworów po odpadniętym tynku było ponad 100. Ja jako dziecko pamiętam ten stan jeszcze w latach 1955–1957.

Mieszkanie nr 2 po prawej stronie klatki wynajął mój dziadek Stanisław Bujak z żoną Joanną, który w 1937 r. został przeniesiony służbowo z Krakowa do Kielc i objął stanowisko naczelnika stacji PKP Kielce. Mama skończyła w 1938 r. studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, Wydział Farmacji, i mając dyplom mgr. farmacji rozpoczęła pracę w Kieleckim Szpitalu św. Aleksandra w aptece szpitalnej. Ponadto po południu chodziła do pracy do apteki do Kasy Chorych. Wynajęte mieszkanie składało się z kuchni z wnęką tzw. służbówką, spiżarki, łazienki oraz oddzielnej toalety i 3 pokoi – w sumie 86 m². Wysoki parter był dobrą lokalizacją, a okna od ulicy były na wysokości około 2,8 m. W pokoju od ogrodu, czyli wschodu, był balkon. Ogrzewanie oczywiście na węgiel kamienny, czyli w każdym pokoju piec kaflowy, jak również piec w kuchni. Piec kuchenny z 4 fajerkami, płyta oczywiście żeliwna, pod którą paliło się drewnem, a potem węglem, gotując obiad czy też ogrzewając pomieszczenie. Czynsz najmu takiego mieszkania wynosił 90 zł, co przy zarobkach dziadka około 300 zł było do przyjęcia. Mama zarabiała wtedy w sumie około 400 zł, pracując, jak już wspominałem, na dwóch posadach w aptece szpitalnej i Kasie Chorych. Te zarobki dziadka i mamy pozwalały wynająć takie mieszkanie. Ciekawostką tego mieszkania było to, że dwa pokoje od południa nie były kwadratami ani prostokątami – były po prostu trapezami, a wynikało to z faktu, że granica działki, na której stała kamienica, nie była prostopadła do osi ulicy Chęcińskiej.

Mieszkanie nr 3 na pierwszym piętrze wynajęli państwo Piekielniakowie. On – Jan Piekielniak, oficer Wojska Polskiego 4. Pułku Piechoty na Bukówce, ona – mgr chemii Anna Piekielniak, nauczycielka kieleckich liceów, w latach wojny bardzo aktywna w tajnym nauczaniu, a po wojnie i przed pójściem na emeryturę w latach 1963–1964 uczyła mnie chemii. Pani profesor była osobą samotną, ale bardzo mało było o niej wiadomo. My jako jej uczniowie nie wiedzieliśmy nic więcej, no bo cóż – w tych czasach nie wolno było mówić, że mąż zginął w Katyniu wraz z innymi polskimi oficerami. W kamienicy wszyscy wiedzieli, jaki los spotkał męża pani profesor, ale to były czasy, że temat ten był zakazany. Ja wiedziałem od rodziców, że jeszcze wiosną w 1940 r. przyszły do pani profesor dwie kartki pocztowe, ale treść była krótka, lakoniczna, nadane one były z Sowieców. Potem nastąpiła długa cisza, żadnej wiadomości ani informacji. Wszystko wyjaśniło się, gdy groby odkryli Niemcy po zajęciu Sowieców i opublikowaniu w prasie gazinowej listy osób rozstrzelanych. Jan Piekielniak był między innymi na tej liście.

Mieszkanie nr 4 na pierwszym piętrze nad moimi dziadkami wynajęła rodzina Dominików. Było ono identyczne, jak moich dziadków, ale miało dwa balkony: od ogrodu i drugi od ulicy. On urzędnik Urzędu Skarbowego wysokiej rangi, ona przy mężu. Mieli dwóch synów: Adama i Jana. Zaraz na początku wojny z uwagi na jej wiedeńskie pochodzenie i urodzenie w Wiedniu podpisali volkslistę. W czasie wojny Dominikowa była sekretarką stadthauptmana w kieleckim magistracie przy rynku, który nosił wówczas nazwę Adolf Hitler Platz. Od strony ogrodu na wysokości balkonu pierwszego pietra na tynku były wymalowane dwa duże koła, a w ich środku dwie swastyki. Jak pamiętam, te swastyki były czytelne na początku lat pięćdziesiątych. Gdy wojna się skończyła, a wojska rosyjskie weszły do Kielc, cała rodzina została wywieziona w nieznanym kierunku i znikła, w mieszkaniu tym pozostała tylko służąca. Potem zamieszkał tu szef kieleckiego Urzędu Bezpieczeństwa Adam Kornecki (właściwie Dawid Kornhendler), wcześniej szef sztabu I. Brygady AL im. Ziemi Kieleckiej. Po kilku miesiącach zamieszkiwania w tym lokalu wyjechał służbowo do Warszawy. 27 marca 1969 r. wyemigrował do NRF [ob. RFN - red.], występował w radiu Wolna Europa, atakując swoich dawnych towarzyszy. Mieszkanie to potem kwaterunek przydzielił rodzinie Żarębskich. Państwo Żarębscy z matką, starszą osobą, i córką przybyli do Kielc ze Lwowa – tu opiszę ciekawie zdarzenie. Opowiadał mi je mój tata, że zaraz po wojnie w latach 1947–1948, gdy mama miała jeszcze prywatną aptekę dzierzawioną od spadkobierców po Balasińskim, to matka pani Żarębskiej zaproponowała, aby tata mój kupił od niej kamienicę we Lwowie, którą oni posiadali, i okazała się stosownymi dokumentami i aktem notarialnym jeszcze z 1939 r. Tata mój uśmiechnął się, ale matka pani Żarębskiej oświadczyła, że to dobry interes, będzie pan miał z tego jeszcze pożytek, bo Lwów i tak do Polski wróci niedługo. Tata uśmiechnął się jeszcze raz i na tym skończyła się cała rozmowa.

Mieszkanie na drugim piętrze nr 5 zamieszkiwali Jan i Anna Lengasowie z synem Jerzym, potem w czasie wojny nastąpiła zmiana mieszkańców. Sędzia Markiewicz wraz z żoną i dwoma córkami był jego lokatorem. Starsza córka państwa Markiewiczów Maria po wojnie skończyła medycynę i była lekarzem okulistą, młodsza Krystyna skończyła prawo i była sędzią Sądu Rejonowego w Kielcach. Sędzia Markiewicz był po październiku 1956 r., w czasie tak zwanej „odwilży”, prezesem Sądu Wojewódzkiego w Kielcach. Gdy kiedyś grali z moim tatą w brydża, powiedział tak: „Wie pan panie inżynierze, gdy zostałem prezesem sądu w 1956 r., to ja byłem bezpartijny”. Pogrzeb pana sędziego odbył się w kieleckiej katedrze, mszę świętą odprawiał sam biskup Mieczysław Jaworski. Sam byłem zdziwiony dlaczego, ale potem tata mi powiedział, że brat ojca sędziego był przeorem na Jasnej Górze w Częstochowie i miał zostać biskupem częstochowskim, ale prymas Polski przychylił się do jego życzenia i stryj sędziego pozostał dalej przełożonym ojców paulinów.

Mieszkanie po przeciwległej stronie nr 6 było wynajęte przez państwa Medweckich. Pan Medwecki został zmobilizowany w sierpniu 1939 r., ale po klęsce wrześniowej wrócił do domu. Żoną jego była nauczycielką u św. Kingi. Do mieszkania tego w czasie wojny wprowadził się ks. Antoni Michalski z matką. Ks. Michalski był proboszczem parafii Najświętszej Marii Panny, kościoła znajdującego się za torami przy ulicy Młynarskiej, obecnie Urzędniczej. Po wybudowaniu plebanii przy kościele nastąpiła przeprowadzka księdza na nowe mieszkanie. Mieszkanie to z kwaterunku otrzymali państwo Firmanty. Pani Krystyna i Zygmunt Firmanty mieli dwoje dzieci, starszą Grażynę, która chodziła z moim bratem do jednej klasy, bo urodzona w 1950 r., i młodszego o cztery lata syna Jerzego. Razem też zamieszkiwała z nimi mama pani Krystyny, babcia Jaroszowa, która była rodowitą warszawianką.

I oto w ten krótki sposób pozwoliłem sobie wyjąć z zapomnienia historię jednej posesji, na której były dwa domy – drewniany i murowany, pokrótce opisać jej dzieje i dzieje jej mieszkańców. Tu na końcu parę słów o moich dziadkach Bujakach. W 1945 r.,

gdy Rosjanie wkraczali do Kielc, mój dziadek Stanisław Bujak i Józef Eubich zabarykadowali drzwi główne wejściowe do kamienicy Chęcińska 11a. Od frontu drzwi zabito deskami, natomiast od wewnątrz, od klatki schodowej, zablokowano stemplami, opierając je o kamienne schody – był w tym konkretny cel. Wejścia do budynku drewnianego były od podwórka, tu nie było takiej potrzeby.

W mieszkaniu moich dziadków (mieszkanie nr 2) na początku wojny były tajne komplety nauczania, tablicę chowano za firanki, był to prymitywny schowek. Nauka na tych kompletach skończyła się dość szybko, bo do małego pokoju okupant dokwaterował oficera niemieckiego, z pochodzenia Bawarczyka, który pięknie grał na pianinie. Kontakt z tą osobą był nietrudny, był to człowiek o zapatrywaniach antyhitlerowskich, a moja mama, jak i dziadek świetnie znali język niemiecki.

Na tym pozwolę sobie zakończyć historię Mojej ulicy Chęcińskiej.

Jacek Grzybała (Kielce) **My Street - Chęcińska**

The present article was written at the request of the editors of „Studia Muzealno-Historyczne” [Museum and Historical Studies]. It is not a typical recollection of childhood but rather an attempt to describe one’s own place in micro-social and micro-topographical dimensions. The term ‘micro’ used here arbitrarily means a community of inhabitants as well as three-dimensional built-up area of the Chęcińska Street in the 1950s and 1960s as remembered by the author.